



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincji w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Nieraz już wspominaliśmy o ciśnieniu powietrza, tłómaczyć więc nie będziemy tego prawa przyrody. Sztuczka, na rysunku przedstawiona, wykazuje to prawo w sposób do-tykalny. Bierze się do tego nieduży krążek skórzany, ma-

jący u środka uwiązany sznurek. Zwilżywszy nieco skórę, przyciska się krążek nogą o ile można najszczelniej do bruku. Po chwili, gdy pociągniemy za sznurek, przekonamy się, że krążek przylgnął do bruku, jakgdyby był do niego przyklejony. Jeżeli przylgnął do jakiego niezbyt ciężkiego i ruchomego kamyczka, to go podnosi za sobą, a nie odsta- nie. Wilgoć jednakże przykleić go w ten sposób do kamienia nie mogła, lecz w skutek przyciskania nogą, usunęliśmy po- wietrze z pomiędzy krążka i kamyka, a ciśnienie zewnętrzne atmosfery całym swym ciężarem go przygniotło.

MIŁOŚĆ BRATERSKA,

OBRAZEK Z DZIEJÓW GRECKICH.

Greco! ty piękna, której bohaterzy
Wzorem od wieków byli dla młodzieży,
Powstań z przeszłości i błysznij nam
Blaskiem piękności, bez łez ni plam,
Blaskiem potęgi, co w duchu tkwi,
Sławy pragnieniem, co wre ci w krwi,
I obowiązku pojęciem wraz:
Do twoich wyżyn, Greco, wznies nas!

Roku około 800 przed erą chrześcijańską, w rozkosz- nym miesiącu Maju, tak zimnym i dżystym u nas zazwyczaj, niebiańska wiosna w całym swym czarującym rozkwicie pa- nowała nad zasypiającą słodkim snem w wonnych gajach

pomarańcz i myrtów Grecyą. Wieczór nadchodził: Kryształowe strumyki, szemrząc srebrnym, półsennym hymnem, zdawały się zwalniać biegu, jako znużone i dążące do spoczynku; róże na ich wybrzeżach chwiały im znużonymi główkami na dobranoc, woń, jako modlitwa, wznosiła się w czystym, spokojnym powietrzu pod niebiosą. Ale jednocześnie z zaśnięciem dnia, część przyrody poczyniała przeciwnie powstawać do życia: to pasterze greccy budzili stada swoje i wiedli je na upatrzone i wyznaczone pastwiska, daleko pożywniejsze i raźniej użytkowywane podczas rozkosznych wonnych i rzeźwych, mimo ciepła nocy... niż w dniu czasem trochę nazbyt słoneczne. Takie dni częstokroć stada i pasterze przesypiali w ocienionych zagrodach, pod strażą psów ogromnych i wiernych, a nocami przy srebrzystym blasku księżyca i służebnic jego, gwiazd, wychodziło się na pastwiska.

To też uchyliły się drzwi domu Diosą, który niedawno przeniósł się z eolskich Kum z Azyi Mniejszej do Askry w Beocyi. Z tych drzwi wyszedł cicho, aby ojca schorzałego nie budzić, młody chłopak imieniem Hezyod, przymknął drzwi, poszedł do bliższej zagrody i usunął zapory; za pierwszym szelestem dało się słyszeć groźne warczenie, natenczas, zawsze przez wzgląd na sen schorzonego Diosą, Hezyod dotknął lekko strun cytry, którą niósł, a na ten cichy dźwięk natychmiast umilkło groźne warczenie, i za uchyleniem wierzei od zagrody, kilka ogromnych kudłatych jak niedźwiedzie brytanów, wyskoczyło z niej, skomląc radośnie, a tak gwałtownie objawiając swe pieczyoty, że Hezyod musiałby upaść na ziemię pod ich skokami, gdyby nie trzymał się mocno na nogach, wiedząc dobrze, co go czeka.

— No, no, pieski moje — mówił pół żartem pół seryo i takim tonem, jakby zwierzęta rozumiały go co do słowa — ślicznie strzeżecie stada, wiernie pełnicie obowiązek, to dobrze, zawsze tak czyńcie, bo po to jedynie, to jest dla dopełnienia celów stworzenia, my, i wy, i cała przyroda, istniejemy. Tymczasem wypędźcie stado pod Helikon, jak co dnia.

Na te słowa psy ogromne kudłate wróciły w głąb zagrody i prawie bez szczekania, czy to kierując się codziennym zwyczajem, czy też nareszcie może i rozumiejąc w części mowę pana, zaczęły wyganiać z zagrody stada nie opierające przestą bynajmniej, także zapewne w skutek wezwyczajenia. Przez ten czas ciągle miarowo, choć bardzo cicho, dźwięczała cytra, i wreszcie ruszyło całe stado, kierowane przez pasterza, pilnowane przez obiegające je dokoło psy i wkrótce przy srebrnym blasku księżyca zaszło na bujne pastwisko pomiędzy jeziorem Kopaisem a zatoką, Korynecką u stóp góry, Helikonem zwaną, na której szczycie znajdował się gaj i świątynia, poświęcone Apollinowi i Muzom, a w pobliżu szemrały, tocząc brylantowe nurty, zdroje Aganipy i Hipokreny.

Tu, siadłszy, na stoku Helikony tak, aby przy jasnym blasku gwiazd i księżyca mógł z wyżyny obejmować okiem liczne stworzenia, stanowiące zamożność jego ojca i powierzone jego pieczy, Hezyod, zawsze zlekka dotykając strun cytry, począł zwolna i prawie mimowoli wypowiadać, miarowym głosem śpiewając to, co w tej uroczej chwili i w cudnym tem otoczeniu przepełniało mu pierś młodzieńczą: uwielbienie dla wszystkiego, co jest piękne i cześć dla potęgi która wytworzyła to piękno. Stada, jakby nęczone dźwiękami, lub może czując tylko swe bezpieczeństwo w ich pobliżu, pasły się spokojnie, nie rozpraszając, mądre psy leżały lub obchodziły zwolna na około rozległej gromady, strzegąc jej cicho lecz pilnie.

Tak mijały godziny, gdy wśród ciszy tak wielkiej, że sama cisza ta słuchać się zdawała śpiewu Hezyoda, dało się słyszeć jedno, i drugie i znowu inne warknięcia, cichnąc zaraz w taki sposób, że łatwo było poznać, iż psy nie z gniewu tak warczą, lecz raczej zdają się witać kogoś znajomego. Jakoż po chwili ukazał się cień człowieka, który okrążając stado, wszedł wkrótce na ścieżkę pasterską, kręto biejącą pomiędzy zaroślami i dążył stokiem Helikonu w górę ku Hezyodowi. Na jego widok, młody pasterz przestał śpiewać i przybysz rzucił się na miękką murawę obok niego.

Taka szkaradna senna cisza panuje tutaj — rzekł — i śpiewanie twoje tak daleko się w niej rozlega, że można z zamkniętymi oczyma trafić do ciebie od samej wielkiej drogi, kierując się tylko za głosem.

Ten, który tak mówił, był to chłopiec młodszy trochę od Hezyoda, ale do niego podobny, choć ubrany z całym wielkiem wykwintem owoczesnych strojnisiów greckich, jakiego nie było ani śladu w tradycyjnym, pełnym prostoty odzieniu pasterskiem Hezyoda, który rzekł teraz:

— Szkaradna cisza?.. ależ Persesie to rzecz cudna przeciwnie taka śliczna, wonna, rzeźwa, cicha noc! To prawdziwa rozkosz patrzeć na piękno nieskończone, jakiego obrazem jest cała ta otaczająca okolica. I myślę, że najistotniejszem szczęściem na ziemi jest zdolność odczuwania takiej rozkoszy!

Perses rozśmiał się:

— Z przyjemnością ustępuję ci tego szczęścia i tych rozkoszy — rzekł — wolę ja uczyć wesołe i wszystko, co się do ich wesołości przyczynia.

— Wiem o tem na nieszczęście aż nadto dobrze — westchnął Hezyod smutno — twoje zbyt liczne zamilowanie w hucznych zabawach i wstręt do pracy rolniej i pasterskiej i życia domowego jest ciężkiem dla sędziwego Diosą zmartwieniem. Zastanów się nad tem, Persesie kochany, nie przyczyniaj smutku ojcu naszemu, poskrom twą szaloną chęć do ucich gwałtownych, które nie dają zadowolenia, stanowiącego szczęście; zajmij się pracą chociaż trochę, przecież nikt nie broni ci w wszelkich znów rozrywkę; ojciec Diosą żąda tylko, abyś zachowywał w nich miarę rozsądną, mój bracie kochany!...

Hezyod namawiał i prosił tak tkliwie, że powinien był wzruszyć serce brata, ale młody sowizdrzał z nadto był lekkomyślny, aby głębsze wzruszenie mogło doń przystęp znaleźć; uściskał pasterza o zażawionych w tej chwili oczach, ale sam śmiał się przytem i wśród śmiechu rzekł:

— Poczekaj, bracie, niechno ja się trochę postarzeję, jak ojciec Dios, to będę i ja zachwał młodych do pracy i gromił za swawolę; tymczasem wszak będziesz tak dobrym, ty, ukochany, drogi, najdroższy, najlepszy braciszku, żebyś i przyszłej nocy pasł za mnie stada, kiedy ci to taką rozkosz sprawia, tak jak przeszłej nocy je pasłeś. Mamy pyszną zabawę w mieście, na którą ojciec pewnoby mi iść nie pozwolił, gdybym o pozwolenie pytał. Zatem wymknąłem się teraz bez jego wiedzy i nie wróć aż po jutrze rano, no, żegnaj!

— Co? Jaktó! — zawołał Hezyod, chwytając ręce brata, który zerwał się z miejsca i już chciał odbiedz.. — Ty znowu idziesz na zabawę, Persesie! A ja myślałem, że przybyłeś do mnie, aby razem gawędzić i śpiewać tej nocy!... bracie!... — ale próżne było Hezyoda wołanie, Perses uściskał go raz jeszcze, a potem wymknął się ze śmiechem z jego ramion i odbiegł, wołając:

— Do widzenia, drogi bracie! Przeprós tam ojca za mnie; i rozkoszuj się tu dalej razem z twemi stadami, niechaj Apollon z całym chórem Muz zstąpi ku tobie ze szczytu Helikonu i poświęci cię na poetę, bo zaprawdę powiadam ci, iż poetą będziesz!

Perses znikł w cieniach nocy, a Hezyod pozostał nieruchomy, jak skamieniały z boleści, w przeczcuciu złej doli, jaką brat gotuje sam sobie i zmartwienia ojca. Po długiej chwili odetchnął ciężko strapiony młody pasterz i nagle wspomniawszy ostatnie Persesą wyrazy, wzniosł łzawie, tkliwie oczy ku szczytowi Helikonu:

— O Apollinie! i wy, Muzy! — zawołał gorąco — niechaj się stanie, jako wyrzekł ten nieszczęśliwy!... Zstąpcie ku mnie i poświęćcie mię, aby słowo moje miało moc nad bratem moim!...

Zalany łzami, długo Hezyod wznosił serce w dziedzinę dobra, piękna i prawdy, których mową jest poezya. Tej to nocy młody pasterz pod wpływem miłości braterskiej stał się i uczuł istotnie poetą i całą potęgą swego słowa postanowił bratu poświęcić, ażeby powstrzymać go na drodze do zguby.

Wkrótce umarł Dios, pozostawiając dwom synom zna-

czny majątek. Perses natychmiast zmarnował część swoje na swawolę, i jeszcze pogniewał się na brata za to, że tenże usiłował powstrzymać go w lekkomyślnym życiu. Hezyod tymczasem, wierny miłości braterskiej poświęcił bratu poemat swój p. t. „Prace i dnie”, w którym wysławia pracę, jako jedyne źródło pomyślności, wysławia i opowiada porządkiem zajęć życie rolnicze i naucza, jak życie domowe urządzić należy. Napisał także poemat „Teogonia” który jest ważnym źródłem do dziejów mitologii greckiej i dla Greków był niejako kodeksem religijnym. Pisał wiele innych rzeczy Hezyod i stał się założycielem beockiej szkoły poetycznej, której cechą jest opiewanie stanu wieśniaczego w sposób nauczający, czyli dydaktyczny. Smętny jednakże jest ton Hezyodowej pieśni, gdyż wyszedł z serca uciśnionego troską o brata, dla którego miłość uczyniła go poetą.

M. Ziel.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODEJ DZIEWCZYNY,
spisała Br. Kuczyńska.

(Dalszy ciąg).

Gospodarstwo w Wojciechowie jest prowadzone wzorowo, wiele rzeczy produkują i spieniężają dobrze. Ojczulek miał wielką ochotę zwiedzić to gospodarstwo szczegółowo, ale ponieważ nie było czasu, więc musiał poprzestać na pobieżnym obejrzeniu, podczas gdy my okrzyki zachwytu wznosiliśmy w ogrodzie, nad mnóstwem rozlicznych kwiatów. Prześcigaliśmy się w wymienianiu nazw i muszę się przyznać, że na tem polu ja odniosłam zwycięstwo, bo znam doskonale wszystkie ogrodowe rośliny, a nawet i na łączce przy zrywaniu traw nieźle się popisałam, poznawszy wonną nieco *anloxantum odoratum*, drzączkę, *brisa media*, rozmaite rajgrasy, stokłosa i olbrzymią tymotkę od lisiego ogona umiałam odróżnić.

Brat naszej koleżanki był zdumiony naszymi przyrodniczymi wiadomościami; sam, jako prawnik i wychowawiec miasta, nie zwracał uwagi na przyrodę, nigdy nie przypuszczał żeby dziewczęta tyle umiały. Miałyśmy sposobność podnieść z V klasy zasługi naszej nauczycielki, która wszelkimi sposobami swą wiedzę w nas przelać usiłowała, a my wdzięczne za jej usiłowania, choć w części starałyśmy się ją zadowolnić, zwracając zawsze uwagę na otaczające nas rośliny i zasuszając je podczas wakacyj. Teką przyjechała na wozie, więc zaraz na dowód pokazałyśmy mu zdobycze nasze, nowe okazy poszły także do niej, a musiała też dać przytułek roślinom towarzysza naszego botanika, bo ten w wielkim pośpiechu przy wyjeździe, zapomniał o puszcze.

Do Wojciechowa należą duże łąsy, których właściciel strzeże, jak oka w głowie; tamby można znaleźć dużo szczególnych roślin w cieniu olbrzymich dębów i sosen wyniosłych. Wyborne czereśnie zastąpiły nam w zupełności oddane sarenkom jedzenie, poczem około 12 nastąpił wesoły odwrót, a o godzinie 2 w tem samym towarzystwie dążyliśmy do Celejowa.

Wprost z Wojciechowa nie można się tam było dostać, ponieważ miejscowość ta leży w zupełnie przeciwniej stronie, wróciwszy więc do naszej chwilowej siedziby, zjedliśmy obiad, przez ten czas konie odpoczęły, a my, odszedłszy na chwilę na górę, powymowałyśmy z walizek sukienki, które na szczęście wzięłyśmy ze sobą, bo jakkolwiek podróżny strój nasz opierał się zwycięzko zniszczeniu, lecz na koncert, i to jeszcze taki, nie można było przecieć w nim się pokazać; tak przynajmniej twierdził ojczulek, który mocno był z początku zakłopotany naszym ubraniem, dopóki się nie dowiedział, iż posiadamy inne, równie skromne wprawdzie, ale zupełnie czyste i niezgniecione sukienki.

Załatwiwszy więc tę sprawę i umieściwszy w wodzie śliczny bukiet, dla koncertantki przeznaczony, a przywieziony z Wojciechowa, równie jak i przepyszne róże, do naszego stroju służyć mające, zbiegłszy na dół i w chwilę potem już byliśmy w drodze do Celejowa. Jedzie się tam śliczną doliną rzeczki Charzówki, przez wioskę Charz, przez małe miasteczko Wąwolnicę, nie mające w sobie nic szczególnego, a następnie pomiędzy łąkami i parowami malowniczymi. Z Celejowa już niedaleko do Kazimierza i tamten kawałek drogi jest najpiękniejszy, przypomina drogę od Puław wiodącą.

Nie bardzo mi się Celejów podobał, dziwna tam wilgoć panuje i chłód jakiś wieje niemiły; pałac opuszczony, odarty, stoi wśród dzikiego parku w kotlinie niższej i bagnistej. Pustka ta jeszcze przykrzejsze sprawiła wrażenie na mnie, niż poprzednich dni zwiedzane zwaliska. Znać, że pałac niedawno był jeszcze zamieszkały, a taki teraz zapuszczony, bez okien, bez drzwi, we wnętrzu widać jeszcze gdzieś tam szczątki gipsowych ozdób, a nawet w jednej z sal z szarego marmuru kominek. Smutno było na to patrzeć, słońce oświecało dokładnie każdą szczelinę, wewnątrz rozścielało się snopem promieni, nie mogło jednak ożywić i rozweselić tego, co już zamarło.

W drodze powrotnej wszyscy dość melancholijnie byliśmy usposobieni, dopiero gdy w Wąwolnicy zatrzymaliśmy się przed dworkiem niejakiego Wądołkowskiego aby tam wypić słynnie przygotowanej kawy, i gdy nam pod drzewami w ogrodzie podano ten napój, rozweseliły się wszystkie oblicza, żarty posypały się jak z rogu obfitości. Ucierpiała na tem cokolwiek sławna kawa, nad której przygotowaniem pracowało kilka osób, a rezultat był taki, iż utworzyły się dwie partje w naszym kółku: jedna twierdziła, iż kawa ta jest czekoladą, a druga, mianowicie ta, która nas namówiła na zatrzymanie się tutaj, iż to najczystsza mokka. Dała się jednak wypić i nawet łącznie z razowym chlebem, nie bardzo co prawda na razie odpowiednim, nasycała nas doskonale. Broniąc się od żartobliwych naszych zarzutów, gospodyni tłumaczyła nam, iż nie spodziewała się dziś gości z Nałęczowa, z powodu koncertu, więc dlatego nieprzygotowane były ani świeże bułeczki, ani też lepsza kawa.

Punkt o 7-ej zajechaliśmy przed pałac, malarz L., wzięwszy bat od woźnicy, wypalił tak dzielnie z niego, aż kilka osób ciekawie wyjrzało przez okna, kto tak zamaszycie zajężdża. Mnóstwo już było powozów przed stajniami dworskimi i mnóstwo wykintnie postrojonych osób krążyło po parku. Pobieglśmy natychmiast do swego pokoju, aby się przebrać i jaknajprędzej do sali koncertowej podążyć; nie chciałam już nic oglądać, ani nawet do parku wychodzić, tylko sięść na miejscu swoim i czekać tej chwili rozkosznej, kiedy usłyszę dźwięki uroczego głosu.

Byliśmy prawie najpierwsi w sali, numera nasze okazały się w trzecim rzędzie, bardzo blisko estrady, więc cieszyło mnie to, iż nie tylko dobrze słyszeć ale i doskonale widzieć będę. Początek koncertu stanowiły muzyka i śpiew, wykonane przez dwie młodziutkie panienki. Moje wzruszenie było tak wielkie, szczerze wynaję, iż niewiele słyszałam, dopiero wtedy, gdy po hucznych oklaskach ozwał się z estrady głos melodyjny, pełen srebrzystych dźwięków, mówiących wprost do serca o rzeczach swojskich, kochanych, wsłuchałam się tak głęboko, iż po ukończeniu nawet głos ten brzmiał mi jeszcze w uszach przez chwilę. Wszyscy obecni byli wzruszeni, znać, że głos pełen serdecznej prawdy i niezrównanej prostoty trafił do uczuć każdego, poznać to można było po ciszy, jaka na krótko zapanowała po ukończeniu; później za to wybuchnęła burza oklasków, która zmusiła panią S. do wypowiedzenia nad program kilku ślicznych rzeczy. Wdzięk niezrównany w wypowiedaniu różnorodnych uczuć, przesliczna intonacja i cieniowanie porywają, czarują, unosząc z sobą słuchaczy w inne krainy. Nigdy dotąd nie słyszałam nikogo tak deklamującego, choć i w teatrze, i na koncertach dosyć bywałam; zachwyt mój wzrósł do najwyższego szczytu, nawet przy podziwianiu pięknych widoków, nie

byłam tak upojona i oczarowana. Sama sobie wydawałam się inną, kochałam zawsze swą mowę ojczystą, ale zdaje mi się, że od tej pory kocham ją jeszcze bardziej.

Co to za miła rzecz być obdarzoną talentem, a szczególnie właśnie takim, który daje sposobność wywierania wpływu na wiele osób. Zazdroszczę jej, a zarazem i żałuję niesłychanie, iż nigdy prawie słyszeć jej nie można. Kochająca i kochana, żyje w małym kółku rodzinnym i podobno zadowolniona jest zupełnie. Pojmuję to, ale dla publiczności warszawskiej oddalenie ze sceny takiej artystki jest stratą niczem niepowetowaną.

Bukiety i kosze kwiatów składano u stóp deklamatorki, czarującej swymi słowami i my swój skromny dar złożyliśmy także, a potem, potem... Ojculek wziął mnie pod rękę, jak również i Bronisę, zaprowadziwszy do pokoiku, w którym odpoczywały koncertantki, przypomniał się pamięci obojga państwa S. i przedstawił nas mówiąc do pani S. „iż są to osóbkę oczarowane przez nią i przez jej dzieci”. Widocznie dobrze to ją dla nas usposobiło, a szczególnie wzmianka o dzieciach, bo się uroczo uśmiechnęła, słysząc to i była dla nas tak ujmująco grzeczna, że się ośmieliłam i przemówiłam słów kilka. Nie byłam w stanie wypowiedzieć jak jestem zachwycona i do głębi duszy przejęta, trudnoby to było wyrazić nawet, to też mówiłam tylko o wycieczce naszej, o tem, iż się już kończy niestety i nareszcie zapytałam nieśmiało, jakie imiona noszą jej córeczki? Jak ona musi je kochać serdecznie, kiedy na to pytanie, pochyliła się ku mnie, pocałowała tak jakoś mile, a zadowolniejszy moją ciekawość dodała jeszcze:

— Jaka pani dobra, że o moje dzieci zapytuje; szkoda, że nie mogę ich przedstawić, ponieważ państwo jutro rano jada, ale bardzobym rada gdyby ojciec przyprowadził swoją córeczkę do nas w Warszawie; dziewczynki moje z pewnością pokochają panią. Zapamiętałam dokładnie te słowa, bo mi były miłe nad wyraz, wiem, że ojczulek mój zrobi to i pójdzie ze mną do niej, cieszę się z tego niesłychanie, bo czuję dziwny pociąg do tej miłej pani S.

Więc już nic mówić nie mogłam, bo i tak jakoś zadrośnie patrzano na tę rozmowę, a że właśnie muzyka zagrała walca, bo po koncercie miały nastąpić tańce, więc panią S. porwano, a nawet i my, mimo niechęci, musiałyśmy przetańczyć z naszymi towarzyszami i bratem naszej koleżanki. Znadto może skromnie wyglądały tu nasze sukienki i pensyonarskie uczesanie, ale nie zważałyśmy wcale na to i rozochoławszy się, byłybyśmy tańczyły i do końca samego, lecz nieubłagany ojczulek nie pozwolił! Jutro znow cały dzień miałyśmy być w ruchu, a że i dzisiejsze wycieczki, nade wszystko wieczorne wrażenia zmęczyły nas trochę, więc nie opierając się bardzo, udałyśmy się na zasłużony spoczynek.

Piękna pogoda, jakby na zamówienie, dopisywała nam ciągle, a że do 11-jej czas mieliśmy jeszcze, więc zaraz wstawszy wyruszyliśmy znow na przechadzkę w przeciwną stronę Nałęczowa wraz z całym naszym towarzystwem. Za ogrodem właściciela i za rzeczką jest ładny las, wawozami poprzerynany, tam to odbywają się dziecinne majówki, urządzone przez miejscowego nauczyciela gimnastyki. Po małej kładce dostaliśmy się na śliczną, ukwieconą łąkę, gdzie znalazłyśmy znow kilka ładnych okazów, jak kleśniec, *arum maculatum*, pszeniec, *melampyrum*, skabiozy i dzikie goździki. Poczem wdrapałyśmy się na górkę, obrośniętą lasem i woniejącą mnóstwem kwitnących tam białych storczyków, *platanthera bifolia*, pospolicie dzikimi hyacyncami zwanych.

Nie zrywałyśmy ich dużo, bo niepodobna było dużych bukietów zabierać, a dla chwilowej przyjemności szkoda było ogołacać tego ślicznego lasku, który w południe musi być balsamiczną wonią żywicznych sosen przepełniony przez lato całe. Gdybym tu miała przepędzać wakacje, to zawieszalabym hamak między drzewami i przebywałabym w tem ustroniu dni całe, tak mi się podobała niezmiernie ta malownicza górka. Wązką ścieżką między polami doszliśmy do alei lipowej, do parku następnie i do pałacu, którego wnętrze pozostawało nam jeszcze do zwiedzenia; wczoraj wprawdzie

prowadzono nas przez jakieś pokoje, ale nic nie widziałam, bo na nic nie zważałam, mając myśl zwróconą ku jednemu przedmiotowi.

Pałac ten, jak już wspomniałam, był wzniesiony przez Małachowskich w przeszłym stuleciu, świadczy o tem napis na frontonie umieszczony. Dół zajmuje mieszkanie administratora, kancelarya i restauracya; pierwsze piętro najpiękniejszą część stanowi, gdyż mieści kilka bardzo wspaniałych salonów, jako to: salę balową, a zarazem koncertową, pięknymi bardzo sztukateryami przyozdobioną i wspaniałym staroświeckim kominkiem. Prześlicznie też jest i okazale umeblowana sala, przeznaczona na „Czytelnię”, gdzie kilkanaście czasopism znaleźć można. Popiersia sławnych mężów zdobią także tę salę. Jest jeszcze salon do gry w karty, fortepian stoi w wielkiej sali; panie podczas balów mają też pokój oddzielny do poprawiania nieporządków w toalecie. Z czytelni wychodzi się na ogromny ganek, z kąd można objąć okiem park cały i wille na górze armatniej.

Po zwiedzeniu pałacu tylko tyle czasu nam zostało, ile było potrzeba na pożegnanie się z miłymi naszymi towarzyszami i podążenie ku zakładowi hydropatycznemu, gdyż ztamtąd miał nas zabrać omnibus. Gdyby nie to, że jechałam do domu, bardzobym żałowała Nałęczowa, tak mi się podobał; o ile mi się zdaje, miejscowość ta jest bardzo stosownie wybrana na urządzenie leczniczego zakładu; okolica piękna, powietrze zdrowe i bliskość kolei, są to ważne warunki, które właśnie łączy w sobie Nałęczów. Jeżeli do tego dodamy łatwość w dostawianiu produktów spożywczych i względną ich taniłość, a nade wszystko, że zakład jest wzorowo urządzony, to przyznać trzeba, iż lepiej na kuracyą tutaj przyjechać, niż szukać zdrowia po niemieckich zakładach. Istnienie swoje Nałęczów zawdzięcza ś. p. drowi Fortunatowi Nowickiemu, który go urządził i rozwinął; piękna, niewielka willa „pod Kraszewskim” jest własnością wdowy, a ku uczczeniu pamięci dra Nowickiego, zarząd państwowy marmurową tablicę z odpowiednim napisem wmurować kazał nad głównym źródłem żelaznym.

(d. n.)

NA ŁÓDCE.

„Płynię łódka w dal,
Wśród srebrzystych fal”

I mknie łódka po jeziorze,
Nad nią świeci jasne zorze,
A do duszy pieśni niesie:
Te, co śpiewa ptaszek w lesie,
Te, co płyną gdzieś z oddali
Z białą pianką wodnej fali...

Płyną, płyną różne pieśni,
Tam aż z głębi, z serca cieśni,
Są wesole, są i smutne,
Są znow tęskne, bałamatne...

Wiosło lekko wodę trąca,
I wciąż płynie piosnka drżąca,
O tych rybkach, co tam na dnie
Tak płyną sobie ładnie,
O tych muszkach, co tak brzęczą,
I wpadają w sieć pajęcza...

O rycerzu, co był w boju,
I o życia ciężkim znoju,
O tym ptaszku, eo tak nuci,
Że się czegoś serce smuci...

Wtem niebiosa się zachmurzą
I na wodzie zmarszczek dużo...
Ale łódka płynie w dal,
Wśród posepnych teraz fal.

Z. Morawska.

GRACZ CZARODZIEJSKI,

PODANIE SZKOCKIE.

— A to co za rudera?...

— To nie rudera wcale, to zamek, bardzo starożytny wprawdzie, ale dotąd zamieszkały, cały i wygodny, i pełen nadziei na przyszłość, bo pełen dzieciaków zdrowych i żwa-

— Przecież się przekonywałeś nareszcie, że we wszystkich waszych nadzwyczajnościach miejscowych, mianowicie dotyczących duchów i t. p. niema nic nadzwyczajnego, ponieważ są to tylko złudzenia szkockiej bujnej wyobraźni — odrzekłem, udając obojętność, ale patrząc z boku na przyjaciela. Geffrey aż podskoczył z gniewu na siedzeniu:

— Złudzenia! — krzyknął z uniesieniem — złudzenia szkockiej wyobraźni!... Pójdź, pójdź! przekonaj się zaraz! Zeskoczył z wózka i mnie ściągnął zeń prawie gwałtem



Na łódce.

wych, gotowych zawsze *golemi kolanami* pełzać po śniegu, jako szczerze Szkoty: to jest zamek Glamis!

— Glamis! — krzyknąłem — ależ, przyjacielu Geffrey'u, dla czegoż nie pokazałeś mi go dawniej? Wszakże to zamek słynny ze swych cudowności, a raczej z dziwów?

— I dla tego właśnie nie wspomniałem ci o nim, wiedząc, że w dziwy nie wierzysz. Zresztą niema tam nic nadzwyczajnego!... — mówił przyjaciel mój Geffrey, puszczając dyk z cygara i patrząc w obłoki, podczas gdy wózek podrzucał nas gwałtownie: przyjaciel Geffrey palił cygaro i patrzył w obłoki zupełnie z taką miną, jakby chciał powiedzieć: „Nie warto z tobą mówić o tych rzeczach, bo się na nich nie znasz”.

i wiódł do pysznej starożytnej rezydencji, do której przed chwilą wzbraniał się mię zaprowadzić, gdy ja jęj byłem ciekawy. Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu na widok jego oburzenia, które zresztą powtarzało się, ilekroć wyznałem mu, że nie wierzę w tysiączne przesady, bajki o duchach, zakłete kasztelanki i t. p. dziwy, którymi przepełnione są wszystkie stare szkockie siedziby, a każdy Szkot gotów o nich rozpowiadać bez końca.

— Szczególne to jest jednakże — rzekłem ze śmiechem — boć i w moim kraju istnieją przesady i lud umie wieczorem zimowym przy ognisku prawić straszne bajki o duchach, ale żeby ludzie oświeceni, tak jak wy niby jesteście, nietylko

wierzyli w te cudowiska, ale jeszcze poprostu pysznili się niemi, chluby szukali w tem, że jakiś tam ich odwieczny dziadek, czy babka, czy coś podobnego, jakiś „duch rodziny” nie ma spokoju po śmierci i nachodzi swych potomków... tego ja doprawdy już pojąć nie mogę!

Geffrey przystanął w pośrodku pysznego wirydarza:

— I z moich prababek jedna od siedmiu wieków ukazuje się członkom mojej rodziny przed każdym ważnym w rodzinie wypadkiem, i ja się tem pysznię! — zawołał z nieopisaną dumą.

— Ależ przez litość, czemu tu się pysznić? — zawołałem.

— Jeśli mi pokażesz szewca lub coś podobnego, do-robkiewicza wczorajszej daty, któryby miał także swego rodzinnego ducha, wtedy ja moim pysznić się przestanę! — odpowiedział z wielką dumą Geffrey i żywo zaczął iść dalej ku pałacowi.

— A!... rozumiem nareszcie — rzekłem — a więc u was poprostu duch rodziny jest rodzajem drugiego herbu, dowodzi starożytności rodu, tylko to bieda, że gdy herb, u nas przynajmniej, a pewno i u was, nadawanym był na pamiątkę jakiejś znakomitej krajowi oddanej usługi, to duch rodziny u was, o ile słyszę, zawsze jest wspomnieniem jakiego wcale niechlubnego wypadku; więc jestże się czem chlubić? Chyba, że jak herby są wzorami do naśladowania, tak wasze duchy rodzinie mają być przykładami kary, służącemi do odstręczenia od występnych czynów?

— A może i tak jest... — mruknął Geffrey zamyślony. Tymczasem weszliśmy w olbrzymią sien potężnego zamczyska, wznoszącego się w rozkosznej i malowniczej miejscowości, a zarazem przerażającej górską, szczytną wspaniałością. Właściciele nie było już na wsi w owej porze, przyjęła nas tylko służba, i z całą przyjemnością i swobodą zwiedzałem ten gmach, zbudowany przed wielu wiekami, a wtem w chwili, gdy kładłem rękę na klamce jakichś drzwi zamkniętych, Geffrey schwycił mię za tę rękę, a oprowadzający starzec syknął i cofnął się z przerażeniem; spojrzałem im w oczy i zrozumiałem: w tym pokoju musiało być „coś”... straszego.

— Może panowie odpoczną w sali lub tu na ganku, gdzie nasi państwo często siadają, a ja przynieść każę podwieczorek — rzekł starzec. I poszedł, a my usiedliśmy na dużym ganku, otoczonym z trzech stron szczytami drzew potężnych, wyrastających z głębi górskich przepaści.

— Jaka szkoda — rzekłem — że ten ganek nie dosięga okna tego pokoju, do którego nie pozwoliliście mi wejść... bo zajrzałbym oknem!

— Dajże pokój! — zawołał Geffrey, z przestracchem oglądając się na to okno — to jest tajemny pokój, tam nikt nigdy nie wchodzi, a służba, jak widziałeś, blednie gdy obok tych drzwi przechodzić musi.

— Ale cóż tam jest tak straszego w tym pokoju? i odkąd?

— Odkąd? od pięciu wieków! Co tam jest? to już wiadome jest tylko głowie rodu, jego następcy, i jeszcze jednej osobie, wspólnie przez nich dwóch obranej; tak tu jest od pięciu wieków.

— A żebyż spytać której z tych trzech osób?

— Któżby znów tak był niedyskretnym! Zresztą zapytany odpowiedziałby, że w przedmiocie tym nie może zaspokoić twojej ciekawości, i koniec na tem. Jednakże niema potrzeby pytać, bo legenda istnieje przecież.

— Ach, a więc istnieje legenda!... Opowiedźże!

Geffrey zniżył głos i tak zaczął mówić:

— Przed pięciu wiekami władał tym zamkiem i okolicą wielki pan, prapradziad dzisiejszych właścicieli, człowiek możny, ale okrutny, mściwy, krwiożerczy, i hulaszczy bardzo. Dobrawszy sobie odpowiednich towarzyszków, jeżeli nie uganiał z nimi po świecie, różne popełniając bezprawia, to grał zapamiętałe w karty w tym oto właśnie zamkniętym teraz pokoju, klnąc przytem głośno, jak miał zwyczaj, pijąc i t. d. Otóż zdarzyło się pewnej nocy, gdy tak grał, a karta mu

dziwnie niedopisywała, że kłąc zaczął straszliwiej niż kiedykolwiek, i nareszcie zawołał w uniesieniu gniewu:

— Muszę wygrać! będę grał, dopóki nie wygram, choćbym miał grać do dnia sądnego! — Zaledwie wymówił te wyrazy, zamek zadrzął się od huku piorunu, część góry, ta właśnie tu pod naszymi stopami, zapadła się, tworząc przepaść bezdenną, wszyscy obecni zerwali się i uciekli, tylko pan sam ani drgnął, ani kart nie wypuścił z ręki, a jednocześnie naprzeciw niego na opuszczonym przez partnera miejscu zasiadł szatan, mówiąc:

— Ja zadaję, kolego! — i wychylił puhar, na stole stojący, a pan zamku odrzucił kartę i wychylił także swój puhar. Odtąd od pięciu wieków idzie „gra” w tym zamkniętym pokoju, i będzie iść, dopóki nie zakończy ję głos trąby sądu ostatecznego.

— Hm — rzekłem po chwili namysłu — nie mam nic przeciw legendzie...

— Ale ję nie wierzysz? — podejrzliwie Geffrey zapytał.

— Owszem — odparłem — najzupełniej wierzę w myśl sprawiedliwości ludowej, która tą legendą karze występne go magnata; tylko ciekawy byłbym, czy legendę wymyślono dla wyjaśnienia tajemnicy tajemniczego pokoju... Czy też tajemniczy pokój zastosowano do legendy?

— A więc nie wierzysz — z tłumionem oburzeniem rzekł Geffrey. — Cóż tedy będzie, gdy ci powiem, że bardzo często, tak w dzień jak w nocy, słyhać brzęk puharów i straszliwe klątwy, rozlegające się w tym zamkniętym pokoju?

— Wtedy — odrzekłem żartując — trudnem będzie w istocie do wytlómaczenia, z kąd ci gracze, grający i pijący od pięciu wieków, biorą kart i winę?... choć jedno i drugie zużywa się; a może to właśnie trzy owe wtajemniczone osoby, o których wspominałeś, mają obowiązek dostarczania graczom tych przedmiotów?...

Zaledwo wymówiłem te wyrazy, gdy... piorun wprawdzie nie huknął i góra się nie zapadła, ale tak straszliwa, prawdziwie „furmańska” klątwa rozległa się tuż obok nas za oknem, w głębi tajemniczego pokoju, że obaj zerwaliśmy się na równe nogi, a potem Geffrey zatknął uszy oburącz i uciekł, co mu sił starczyło. Ja przez chwilę stałem nieruchomy, potem zacząłem rozglądać się bacznie na około; jakoż ujrzałem najwyraźniej na dole zamku, w głębi jarów, pod tajemniczym pokojem, wspaniałą stajnię, pełną koni i strzegących a pielęgnujących stajennych, zabawiających się i klnących oczywiście „po furmańsku”. Wtem wszedł służący, prosząc, abym zszedł na dół, gdzie pan Geffrey oczekuje mię z podwieczorkiem. Zjadłszy, poprowadziłem Geffrey’a napowrót na górę i wskazałem stajnię w dole zamku, z kąd echo klątw, odbijając się o skały, mogło dochodzić do górnych ganków i pokojów, najzupełniej w błąd wprowadzając słuchacza, bo nie ulega wątpliwości, że w pewnych okolicznościach żadne najbystrzejsze, najmuzykalniejsze ucho nie jest zdolnem odkryć rzeczywistego źródła pewnych odgłosów. Ale nadaremnie się wysilałem: Geffrey oburzony zamilkł, i jak tylko mógł najprędzej wywiódł mię z zaczerpowanego i pobyttem ducha uszlachetnionego zamku, z takim pośpiechem, jakby obecność niedowiarka profanowała duchów mieszkanie.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

— Wojownicy moi potracili głowy na widok armat, a ja chciałem ich odwrót osłonić. Dla tego to właśnie wysłałem oddział kopijników z plemienia Kel-Ulli, aby się rzucili na artylerję.

— Tymczasem wielbłądy „mehara” nagle się znarowiły

i spowodowały straszny nieład. Wytłomacz mi, co im się stało?

— Nie wiem, tak chciało widać przeznaczenie.

— Nie wiesz? Otóż ja ci powiem, że ty sam doprowadziłeś wielbłądy do tego stanu.

— Imestan nie ma żadnych stosunków ze złemi duchami, nie zna czerodziejskich napojów...

— Wierzę temu. A jednak kazałeś wielbłądy poić przed bitwą; nieprawdaż?

— Tak, to prawda.

— A potem kazałeś ja nakarmić daktylami. Pocóż to uczyniłeś.

— Chciałem je wzmocnić, pobudzić do śpiesznego biegu.

— Czy tak?... Powiedzże mi teraz z kolei ty sędziwy Itarelu, czyliż nie przestrzegałeś Imestara, że popełnia nieroztropność, gdy kazał paść daktylami wielbłądy twoich kojników?

— Zaklinałem na wszystko Imestana, aby tego nie czynił — odpowiedział stary wódz — przewidywałem nieszczęście, lecz nie chciał mnie usłuchać. Biada nam, biada!

— Jakże mogłeś pozwolić na to, ty, doświadczony wojownik, dzielny jeździec pustyni?

— Biada mi! Nie mogłem złemu przeszkodzić, Imestan słuchać mię nie chciał.

— Powiedz mi szczerą prawdę, Itarelu — mówił dalej timbuktukoj — czy ten człowiek, który był wczoraj twoim naczelnikiem, czy ten Imestan pochodzi w rzeczy samej z plemienia Tuaregów północnych?

— Tuaregowie północni — odrzekł starzec ponuro — nie karmią wielbłądów daktylami, napoiwszy je wprzód wodą. Kto tak czyni, zwłaszcza przed bitwą, jest zdrajcą!

— Odpowiedz na moje pytanie. Czy Imestan pochodzi z górzystej krainy Hoggar?

— Niechaj obnaży prawe ramię.

— Słyszysz, Imestanie! — ozwał się Francuz — pokaż nam ramię obnażone.

Po obejrzeniu, Itarel-eg-Idda stanowczo oświadczył i przysięgą solennie potwierdził że człowiek Imestanem zwany nie mógł pochodzić z Hoggaru, bo nie miał na ramieniu znaku, który wyróżnia wszystkich mieszkańców tej krainy. Znak ten wycięty na skórze, błękitną farbą napuszczony, wyobraża krzyżyk i zowie się „Sidna Aissa”, co znaczy Jezus, poprzednik proroka.

Stary wódz plemienia Kel-Ulli miał zupełną słusność. Tuaregowie północni byli chrześcijanami w pierwszych wiekach ery naszej. Pozostał im dotychczas ów znak krzyża, który stanowi jakby herb narodowy plemienia. Ponure milczenie zapanowało po tem oświadczeniu Itarela. Kapitan Lemercier przerwał je wreszcie i przybierając ton całkiem odmienny, mówił dobitnie, powoli, patrząc mu prosto w oczy:

— Mój panie nieznajomy, nie nazywasz się z pewnością Imestanem, chociaż nic nie mam przeciw temu, abyś sobie to imię przybrał. Przecież my wszyscy Europejczycy, podróżując po Afryce, przybieramy podobne pseudonimy. Ja także tu nazywam się Abdalach. Ale to gorzej, że nie jesteś wcale Tuaregiem północnym, chociaż się za takiego podajesz. Przybyłeś tu niezawodnie z Europy, tak samo, jak i my; nieprawdaż, mój panie łaskawy?

Tamten nie odpowiedział ani słowa. Wielkorządca, po chwili milczenia mówił dalej:

— Jakim sposobem potrafiłeś pozyskać zaufanie sułtana Ahmadu do tego stopnia, że ci powierzył dowództwo nad Fulanami, tego nie rozumiem. W każdym razie nie okazałeś zdolności potrzebnych do prowadzenia wojny w Sudanie. Jako mieszkaniec Hoggaru, jesteś zdrajcą; jako Europejczyk, zawiniłeś nieznajomością rzemiosła wojennego, podobną więc odpowiedzialność ciąży na tobie.

Mniemany Imestan zadrżał widocznie.

— Tak — ciągnął dalej wielkorządca — jesteś wielkim winowajcą! Poczuwając się do niedoświadczenia, powinieneś być usłuchać przestróg sędziwego Itarela. Cóż masz do po-

wiedzenia na obronę swoją?... Nic? To dobrze. Teraz tyle ci tylko powiem, mój panie, że pochodzisz z Anglii i jesteś współnikiem tych Anglików, którzy tu w Timbaktu knuli swoje intrygi, a obecnie walczą przeciw nam razem z Aueli-midenami.

Oskarżony zadrżał znowu od stóp do głowy, lecz milczał uparcie. Kapitan Lemercier dodał wreszcie na zakończenie:

— Uważaj dobrze na te słowa moje: daję ci godzinę czasu na obmyślenie obrony. Po upływie tej godziny, jeżeli się nie wytłomaczysz w sposób zadawalniający, utwierdzisz się ostatecznie w przekonaniu, że jesteś Anglikiem, szpiegiem i zdrajcą. Znasz prawo wojenne wszystkich narodów, czy dzikich czy cywilizowanych, wiesz zatem, jaki los cię czeka.

Milczący, nieruchomy, Imestan wyglądał zupełnie, jak posąg z kamienia. Odchodząc, wielkorządca rzekł jeszcze:

— Widocznie nie masz nic na obronę swoją. Zgoda, nie pytam więcej. Pozostań tu w tej sali i nie dźwi się, mój panie, że u drzwi straż postawię. Jesteś więźniem.

Barbusza zasiadł przy drzwiach zaimprovizowanego więźnia, otrzymawszy polecenie od pana swego, aby jeńca strzegł z największą pilnością. Z przyjemnością zauważyłem, że przyjaciel mój Francuz przez cały czas tej rozprawy umiał zachować krew zimną, powagę i spokój, nie uniósł się ani na chwilę.

— Pan może nie rozumiesz — rzekł do mnie z uśmiechem, gdyśmy przeszli obaj do ogrodu — co się stało z owymi wielbłądami, gdy po wypiciu wody spożyły daktyle?

— Wyznaję — odpowiedziałem — że dotąd nie mogę wyjść z podziwienia, jaki w tem był występki, czy też nieroztropność?

— Trzeba panu wiedzieć, że wielbłądy tak ucztowane upijają się poprostu, jakgdyby gorzałką lub mocnem winem. Nie potrafię panu wyjaśnić tego dziwnego fizjologicznego zjawiska, tymczasem jest to fakt niezaprzeczony, sam nieraz na własne oczy to widziałem.

— Zdaje mi się — powiedziałem po chwili namysłu — że ja na to znajduję wytłomaczenie naukowe. Daktyle w połączeniu z wodą szybko bardzo fermentują, a ztąd wywiązuje się wyskok, alkohol. Chemiczne to działanie odbywa się więc zapewne w zapaśnej torbie wielbłąda, wiadomo bowiem, że zwierzę to zawsze trochę żywności i napoju w tej szpiarni swojej pozostawia. Oto jest prawdopodobne rozwiązanie zagadki.

Zaledwie dokończyłem tego wyjaśnienia, gdy nagle zatrzymałem się, zdziwiony i zaniepokojony. Karol zdyszany, zziązany, biegł naprzeciw mnie, wymachując rękami i wołając:

— Pa-a-an-na Ka-ta-ta-rzy-na...

— Cóż się stało, mów prędzej, czy zachorowała?

— Nie za-cho-cho-cho-ro-wa-wa-ła, broń pa-pa-nie Bo-bo-że.

— Więc czegoż mnie tak straszysz?

— Ja nie-nie-stra-stra-stra-szę pa-na do-do-do-ko-ta-ra.

— Powiedzże, czego tak pędziłeś, jak szalony?

— Ja nie-nie-sza-sza-lo-ny.

— To przynajmniej niemądry.

— Za co-co pan-mnie prze-prze-zy-wa-nie-nie-nie-mądry-dry-drym?

— Już mniejsza o to, czyś mądry, czy nie, ale powiedzże w końcu, czego chcesz?

— Ja nic-nie-nie-chcę-ty-tyl-ko pa-pa-nien-ka pro-si-si pa-na do-do-ko-ta-ra jak-naj-naj-prę-dze-dziej.

— A ty pół godziny pleciesz głupstwa i nie mówisz rzeczy najważniejszych. Coś ważnego zajęć musiało w szpitalu, skoro p. Katarzyna mnie tak nagle wzywa.

Biedny Karol jękał tam jeszcze bez końca, że on głupstw żadnych nie plótł, że spełnił polecenie jaknajsumienie, lecz ja go już nie słuchałem, pośpieszyłem do szpitala.

Zdumiałem na widok p. Katarzyny. Tak ożywionej, tak wzruszonej, nie widziałem jej jeszcze nigdy. Pierwszą moją myślą było, że tylko nadzwyczajna jakaś przyczyna mogła ten posąg pobudzić do życia. Ciekawość moja wkrótce zaspokojoną została, panienska, którą zastałem czekającą na mnie u wejścia do sali szpitalnej powitała mię słowami:

— O, panie doktorze! czy ja mogłam się spodziewać, że tu, w głębi Afryki, w Timbaktu, napotkam krewnego, niewidzianego od lat dziecinnych?

— Gdzieżeś pani odkryła tego krewnego? — zapytałem.

— Tu w szpitalu, pomiędzy rannymi. Wyobraź pan sobie, że ten Sadaktu, także jakiś rodzaj wodza dzikich Fulanów, jest rodem z Holandyi, nazywa się Edgar Voost, jego ojciec był stryjecznym bratem mojego.

— Co za szczególniey zbieg okoliczności! Czy od niego samego dowiedziałaś się pani o tem?

— Tak, najmnijeszj wątpliwości niema. Ciotka Gudula siedziała przy nim; usnął nieco po opatrunku i wystaw pan sobie jej zdziwienie, gdy nagle zaczął przez sen mówić po holendersku. Pochyliwszy się nad nim, ciocia spostrzegła, że miał zawieszony na piersiach katolicki medalik Matki Boskiej. Przywołała mię do jego łóżka i obie podsłuchiwałyśmy pilnie. Z tych gorączkowych majaczeń, ze słów urywanych, odgadłyśmy wkrótce, z kim mamy do czynienia, zresztą i twarz biednego Edgara nie jest przecież obcą dla mnie, poznałam go, chociaż widzieliśmy się jeszcze w latach dziecinnych.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się słyszeć p. Katarzyny mówiącej tak długo. Prosiła mię nakoniec, abym zajrzał do Edgara, bo miał silną bardzo gorączkę, rzucał się przez sen i straszliwie majaczył. Przy łóżku chorego zastałem p. Gudulę zalaną rzewnemi łzami. Stan rannego był w rzeczy samej dosyć niebezpieczny, nie tak jednak, aby należało tracić wszelką nadzieję. Zaleciłem zimne okłady na głowę, dałem mu napój orzeźwiający i wkrótce usnął spokojnie nieco.

(d. c. n.)

PROZA I POEZJA.

Róże zakwitnęły na krzewie ciernistym, od chatek zdała, i od drożyny zdała, listki wędły smutno, burze zwiły resztę, jeden kwiatek został na krzewie ciernistym.

I gdzieś od chatek cudzych przysła dziewczyna, i ujrzała na krzewie różę samotną: „Nie zrywaj!” „Nie zrywać? wszak kwiatek to pierwszy, co go w życiu zrywam” i zerwała różę.

„Zerwałaś kwiatek mój, choć bratni głos prosił; pamiętaj przechować go wiernie, o dziewczę, on dla ciebie pierwszy, lecz ostatni dla mnie, a gdy utracę go, ciernie mi zostanie!”

(Z tej prozy ułożyć trzy strofki rymowane, czterowersowe).

Z następujących zgłosek: ar — blok — de — gal — ke — ko — kre — lej — lu — ne — no — nias — o — a — re — rej — ry — si — se — tak — tar — us — we — ze — zu — zne — ułożyć wyrazy: 1. Rękodzielnia. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Tytuł naukowy. 4. Starożytna nazwa Irlandyi. 5. Jezioro w Afryce środkowej. 6. Kraj w Afryce. 7. Dzikie krajowice afrykański. 8. Rodzaj komunikacyi. 9. Zabawa ludowa. 10. Poeta dawny polski. 11. Bóstwo greckie. 12. Chmurka. 13. Jezioro w Afryce. Początkowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą imię i nazwisko zasłużonego dziejopisa, końcowe w tym samym kierunku imię i nazwisko ulubionego współczesnego poety.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go

Szarady:

Kord — jan.

Łamigłównki w trójkacie:

Z A K O P A N E
A B R A H A M
K I E L C E
O B A W A
P I Ł A
A D A
N A
E

MARJA MATUSZEWSKA

PRZEZOŻONA PENSYI ŻEŃSKIEJ

przy ulicy Leszno N. 28. w Warszawie.

Zawiadamia, że zapis uczennic przychodnich i pensyonek na warunkach przystępnych rozpocznie się dnia 23-go Lipca (4 Sierpnia) i odbywać się będzie codziennie od godziny 9-jej do 4-jej.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI

Leonji Rudzkiej

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie. Zapis uczennic rozpocznie się z dniem 20 Sierpnia.

Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 42, i ulicy Zielnej Nr. 13.

TRESC: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Miłość braterska, obrazek z dziejów greckich, p. M. Ziel. — Wspomnienia z wakacyj, pisała Br. Kuczyńska (c. d.) — Na łódce, wierszyk p. Z. Morawską (z drzew.) — Gracz czarodziejski, podanie szkockie. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.) — Łamigłównki, rozwiązania. **Dodatek:** Kotek zbyt cierpliwy, p. Ciocię Janię, (z drzew.) — Na łące, wiersz p. Z. Morawską. — Grzeczna dziewczynka, p. Kazimierę. — Wyprawa po skórki, p. Kazimierę. — Łamigłównka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.

KOTEK ZBYT CIERPLIWY.

Był to sobie kotek, nazywał się Filuś i jak wszystkie na świecie koty, łowił szczury i myszy, lecz najlepiej lubił ptaszki. Nieładnie to bardzo robią koty, bo przecież i myszami najeść się można, a ptaszka są takie miłe

wdrapał się tam zaraz i obaczył, że było próżne, świeżo widocznie zrobione.

— Oho! — myśli sobie Filuś — skoro jest gniazdko, i ptaszki muszą być niedaleko; trzeba będzie dobrze pilnować, żeby je zejść kiedy niespodzianie.

I zlął, oblizując się a połykając ślinkę. Czekał



Kotek zbyt cierpliwy.

i nikomu nie szkodzą. Ale trudnoż gniewać się na kotka, gdy mu smakują wróbelki, wszak i kurczątko, i przepiórki, i kuropatwy, są miłe, dobre, nikomu krzywdy nie czynią, jednakże... niech już czytelnicy sami odgadną, cośmy tu chcieli powiedzieć.

Wróćmy teraz do naszego Filusia. Raz przechadzając się po ogrodzie na wiosnę, spostrzegł on na drzewie ukryte wśród gałęzi gniazdko. Nie wiele myśląc,

cierpliwie kociak cały tydzień, potem znów wdrapał się na drzewo, zajrzał do gniazdka, patrzy, siedzi ptaszyna na jajkach. Filuś cichuteńko się sprawował, ukryty był dobrze pośród gętych liści, więc biedna mateczka go nie spostrzegła, a on tymczasem tak się namyślał:

— Ej, nie będę się łakomił na tę ptaszynę; nieszczęśliwie jakoś wygląda, musi być już stara, a pewnie i chuda teraz, bo siedząc na jajkach nie może się pożywić, jak

należy. Te matki wszystkie jednakowe, nawet i o jedzeniu zapominają dla dobra dżiatwy; pamiętam i moja mateczka taka była, najlepsze kaski mnie zawsze oddawała. Trzeba mieć troszkę cierpliwości, niechno ta poczciwa wysiedzi już kilkoro piskląt, odżywi je trochę, toż dopiero będzie gratka. Poczekam, a pewnie na tem nie stracę.

Minął znów z tydzień, może i więcej, Filuś przypomniał sobie upatrzone gniazdko, ostrożnie na drzewo się wgramolił, zajrzał i oblizał się. W gniazdeczku poruszało się żwawo czworo małych pisklątek, jeszcze nie dobrze opierzonych, ale oczki miały bystre, błyszczące, spostrzegły też nawet wśród gałęzi straszego zwierza, który spoglądał na nie przenikliwie. Biedactwa zlekły się okropnie, bo chociaż nigdy w życiu kota nie widziały, matka opowiadała im o tym wrogu ptasiego rodu, więc go odrazu poznały. Filuś tymczasem nie rzucił się na bezbronne pisklęta, chociaż łatwoby mu to przyszło, lecz namyślał się i tak sobie mówił:

— Ładne ptaszyny, niema co powiedzieć, ale jeszcze to drobne, niedość utuczone, nie bardzobym się nimi pożywił. Będę cierpliwy, poczekam jeszcze z tydzień, z dziesięć dni, a dopieroż to sobie ucztę wyprawię.

I rad z siebie, że taki jest roztropny i cierpliwy, spuścił się kociak z drzewa, nie wyrządziwszy pisklętom żadnej krzywdy.

Gdy powróciła mateczka, niosąc w dziobku zapasy żywności, dżiatwa zaczęła opowiadać o strasliwym zwierzu, kudłatym, wąsatym, co tu siedział na gałęzi i do gniazdka tak dziwnie zaglądał. Przeraziła się matka, bo i ona z tego opowiadania poznała natychmiat drapieżnika kota, uspokoiła jednak dzieci, jak mogła, wmawiała w nie, że im się pewnie coś wyobraziło, ale sama od tej pory była ciągle niespokojna, czuła, że niema tu już bezpieczeństwa dla pisklątek. To też jak tylko im piórka troszkę odrosły, mateczka z pomocą ojczulka, który także troskliwie czuwał nad rodziną, zaczęła dżiatwę przyuścić do lotu.

Z początku szło niesporo, bo też to trochę i zawześnie było jeszcze, lecz malcom na ochocie do latania o własnych skrzydełkach nie brakło, jedno przed drugim starało się podlecieć coraz dalej, coraz wyżej i po kilku próbach poszło im jak z płatka.

Filuś wreszcie pewnego rana powiedział sobie, że ptaszęta muszą już być utuczone w samą miarę. Oblizał się parę razy, a miał dnia tego wyborny apetyt, bo na pierwsze śniadanie wypił tylko malutką miseczkę mleka. gospodyni naumyślnie więcej mu nie dawała, żeby myszy i szczury łowił. No, ale dziś Filuś kręcił nosem na myszy i szczury, jak to czasem dzieci na pieczeń wołową, gdy im się chce pieczystego z kompotem.

Włazi tedy nasz kociak z dobrą miną na drzewo, a w myśli sobie winszuje, że był cierpliwy, że się nie śpieszył, bo co to będzie za ucztą! Niestety! możecie obaczyć na rysunku naszym, jak smutny zawód czekał zbyt cierpliwego Filusia. Gniazdko było próżne, a ptaszęta fruwały gdzieś daleko po drzewach, nie obawiając się napaści.

Złościł się kot okropnie, łajał ptaszki, wymyślał im tak zupełnie, jakgdyby mu krzywdę wyrządziły, że nie

dały się pożreć. W końcu jednak pomiarkował i własną winę, postanowił też odtąd nie być zanadto chciwym, nie opuszczać dobrej sposobności, gdy się nadarzy, pamiętać o przysłowiu: Lepszy rydz jak nic.

Ciocia Jania.

NA ŁĄCE.

Oj pójdę ja z moją fletnią od rana
Śpiewać będę me piosenki dla Pana
Na łące!

A Pan, skoro pieśń usłyszysz tam w niebie,
Rzuci ludziom swe wejrzenie w potrzebie
Gorące.

Ja Go pięknie też poproszę o ziarno,
Aby weszło złotym kłosem nad czarną
Tą ziemią.

I uproszę, aby ludziom dał łaski,
I ukoił w sercach wszelkie niesnaski,
Co drzemią.

By rozbudził miłość szczerą, choć w biedzie,
Co nam szczęścia mdły promyczek przywiedzie,
Wśród troski!

Szczęściem dzielić się będziemy przykładnie,
I każdemu choć dźbełuszko przypadnie,
Wśród wioski.

Z. Morawska.

GRZECZNA DZIEWCZYŃKA.

Sześćcioletnia Andzia zaproszona była wraz z rodzicami na imieniny babuni. Wielka to zwykle radość dla dzieci takie zebrania rodzinne, a gdy ich się zbierze gromadka trochę liczniejsza, to już zabawa idzie wesoło.

Wieczorem bawiono się w gry różne i Andzia należała do tego, choć jeszcze taka mała, bo ciocia Hela lubi bardzo, żeby się dzieci bawiły ze starszymi, gdy niema osób obcych, którym mogłoby się to nie podobać.

Mała Andzia za fant zbierała bukiet, a gdy dostała sporą wiązanę przesłicznych kwiatów, dziewczynka stanęła na środku pokoju, pomyślała chwilkę i rzekła:

— Kupię pięknej wstążki czterdzieści łokci, zwiążę bukiet, i ofiaruję babci, jako solenizantce.

Jakkolwiek uznano powszechnie, że czterdzieści łokci wstążki do związania byłoby za wiele, hojność ta jednak Andzi świadczyła o jej dobrem serduszkku, a babcia, uszczęśliwiona tym niewidzialnym podarkiem, uściśkała Andzię serdecznie.

Bardzo to pięknie, gdy dzieci są grzeczne dla starszych, i uważają, aby im zrobić przyjemność.

Kazimiera.

Wyprawa po skórki,

przez KAZIMIERĘ.

(Dokończenie).

Tak zaszli do Wisły i stanęli przy moście, przez który kolej przechodzi. Strach przejął dzieci, już i Julek przestał udawać zucha. Usiedli przy moście, mając łez pełne oczy, ale jakaś kobieta wzięła Helenkę za rączkę i odprowadziła na bok.

— Nie siedźcie tu, dzieci — rzekła z dobrocią — taki tu ruch przejeżdżających i pieszych, może was kto potrącić nieuważnie.

I odeszła, bo widocznie śpieszyła się bardzo, a dzieci znów poszły dalej, skręcając to tu to tam, przyszły aż nad Wisłę. Tu ruch był wielki, stało także dużo dorożek, przejeżdżały wozy, kręcili się przechodnie, a zdala słychać było przeciągły sygnał nadchodzącego statku. Tu już naprawdę nie wiedziały biedne dzieci, co z sobą mają począć, potrącano je, odpychano, krzyczano, aby się usuwały z drogi, a one, odurzone tym gwarem przestraszone niezwykłym swym położeniem, przytuliwszy się do siebie, stanęły na boku i z trwogą spoglądały w około.

Zbliżyła się do nich jakaś pani, trzymająca za rączkę chłopczyka w wieku Julka, a widząc dzieci samotne i wystraszone, rzekła:

— Czy tu czekacie na kogo? czy też może zbłądziłyście, moje dzieci?

Helenka się rozplakała, a Julek tarł czuprynę.

— My... my... — jękał — wyszliśmy na skórki.

— Co? — zapytała pani, nie rozumiejąc — na skórki?

— Tak, na skórki, z których robią trzewiczki — rzekła Helenka wśród łez.

— Myśmy chcieli wiedzieć, z czego są skórki — mówił Julek objaśniająco — chcieliśmy wiedzieć, czy to są skórki z owieczek, czy z prosiaczków.

— Pani się uśmiechnęła, a jej synek zdziwionemi oczkami spoglądał na malców.

— A czemu nie zapytaliście mamusi? — rzekł mały, wtrącając się do rozmowy — ja zaraz pytam mojej mateczki, jak czego nie wiem. A może wy nie macie mamusi?

— O mamy — zawołali razem oboje — mamy bardzo dobrą mamusię, i tatusia, i siostrzyczkę, która chodzi na pensję.

— I i dlaczegoż więc, zamiast zapytać rodziców, wyszliście bez pozwolenia — rzekła pani nieco surowo — a tam biedna matka i ojciec szukają was niespokojni. O, moje dzieci, postąpiliście bardzo nierozważnie. Gdzie mieszkają wasi rodzice, i jak się nazywają? Odwiozę was natychmiast.

Julek wiedział, jak się nazywa i gdzie mieszka, bo go mamusia dobrze tego wyuczyła, a nieznamą pani, wzięwszy dorożkę, zabrała dzieci i odwiozła je do rodziców.

Właśnie państwo Solscy tylko co wrócili z powtórnego poszukiwania, gdy ktoś zadzwonił. Matka, nie dając się wyprzedzić nikomu, poskoczyła pierwsza, jakby

miała przecucie, że ujrzy dzieci, i w chwilę z okrzykiem radości pochwyliła je w objęcia.

— Zasłużyliście na karę — rzekł ojciec surowo — przyczyniliście nam swoją nierozważą wielo zmartwienia i niepotrzebno go kosztu.

— Niech im już pan na ten raz daruje — odezwała się pani, która dzieci odprowadziła — mieli i oni bardzo wiele zmartwienia z tej naukowej wyprawy.

Ojciec dał się przeprosić, a gdy odjechała dobra pani, której rodzice dzieci serdecznie bardzo podziękowali, zasiedli wszyscy do obiadu, którego do tej pory jeszcze nikt nie jadł.

Gdy już wszystko wróciło do zwykłego porządku, i dzieci poraz dziesiąty może przeprosiły rodziców, Julek rzekł do ojca.

— Niech nam tatuś opowie, z czego to robią skórę na trzewiczki, bo my nie możemy tego zgadnąć.

— Tu zgadywać nie trzeba, moje dzieci — odpowiedział ojciec — trzeba tylko było przyjść i zapytać mnie lub mamusi. Skóra na trzewiczki przyrządza się z bydłat domowych, używaną jest również skóra z gienz, ale ta jest droższa i delikatniejsza, nie może więc być używaną na obuwiu zwyczajne, nie jest dość mocna.

— Co to są gienzy, ojczulku? — zapytał Julek.

— Są to kozy, mój synku, żyjące dziko w górach, trzeba na nie polować, jak u nas na sarny — odpowiedział ojciec.

— Ale, tatusiu — rzekła Helenka — przecież na wołach i koniach skóra zupełnie inna, nie taka jak na naszych trzewiczkach, jakże to być może?

— Słusznie, żeś to zauważyła — odpowiedział tatuś — i zaraz wam opowiem jak to się robi ta przemiana. Skóra po zdjęciu ze zwierzęcia najpierw rozmiękcza się w wodzie, potem za pomocą żelaznego skrobadła i innych środków oczyszcza się porządnie i wygładza z obu stron, odejmując i włosy i wszelkie niepotrzebne dodatki. Tak urządzona, wygląda zupełnie inaczej, niepodobna jest do tej kosmatej skóry, którą widzicie u żyjących zwierząt.

— Tatusiu — przerwał Julek — czy to szewcy sami robią sobie takie skóry?

— Nie, wyprawianie skór nazywa się garbarstwem — odpowiedział tatuś — i rzemiosło to niema żadnego podobieństwa z szewstwem.

— Więc to, tatusiu, z takich skór, jak to widziałem raz, że wieźli na wozie, robią trzewiczki i buty dla tatusia? — zapytał ciekawie Julek.

— Tak, z takich, tylko je pierw zawożą do garbarni, a tam przerabiają, aby były zdatne do użytku — odpowiedział tatuś.

— To i z tych ślicznych, dobrych koników robią trzewiczki? — zapytała Helenka.

— Ze skóry koników wyprawiają skórę tak zwaną hamburską — odpowiedział ojciec — obuwiu takie jest mocne i ładne, ale na upały niewygodne, i niezdrowe nawet, jest bowiem bardzo gorące.

— Czy szewcy sami sobie skóry farbują? — zapytał Julek, którego ta rozmowa bardzo zajmowała.

— Nie, tem się zajmuje oddzielna fabryka, która przysposabia skóry w różnych kolorach używanych,

i gotowe już szewcom dostarcza — odpowiedział ojciec ciekawemu malcowi.

— To, proszę tatusia, na moje buciki tyle ludzi pracowało — rzekł chłopczyk po krótkim namyśle — a ja myślałem...

— No, i cóż myślałeś? — zapytał ojciec.

— E, coprawda, to nic nie myślałem, dopiero dziś zaczęliśmy myśleć z Helenką — odpowiedział nieco zawstydzony — i dlatego, poszliśmy właśnie na te skórki, aby się dowiedzieć.

— I czegożby was nauczył kawałek skórki, choćbyście ją byli i znaleźli? — rzekł ojciec — postąpiliście nierozważnie, i wiele bardzo zmartwienia wynikło ztąd dla wszystkich w domu.

— Zawsze widzielibyśmy skórę, nie trzewik — rzekł Julek — a musi to inaczej wyglądać-

— Zaprowadzę was kiedy do garbarni, do farbiarni, a na ostatku do magazynu, w którym kupujemy obuwie, będziecie tam mogli wszystko obejrzeć dokładnie — rzekł ojciec. — Przekonacie się, ile to rąk ciężko pracować musi, zanim powstanie taki trzewiczek, na który najczęściej patrzycie bez zastanowienia, żądając tylko, aby był ładny i zgrabny.

— To prawda, tatusiu — rzekł Julek, a zwracając się do Helenki, chciał jej widocznie coś powiedzieć, lecz z wielkiem zgorzaniem spostrzegł, że dziewczynka usnęła.

— Daj jej pokój — rzekł ojciec — ona młodsza i delikatniejsza, trudy dzisiejszej przygody więcej na nią oddziały.

— Ona pewnie nawet nie słyszała obietnicy ojczulka — rzekł Julek, kiwając głową — oj, te dziewczęta!

— Oj, te dziewczęta — mówił ojciec, z uśmiechem spoglądając na synka — podobno one nieraz zawstydzą chłopczyków w pilności do nauki i w grzeczności, czy prawda?

Chłopczyk spuścił głowę, a po chwili rzekł:

— Prawda, tatusiu, tak było nieraz, ale już nigdy nie będzie, a na skórki drugi raz nie pójdziemy.

Bez wielkich więc nieszczęść skończyła się wyprawa na skórki, ale mogło być gorzej, gdyby dobra pani nie zajęła się była losem małych włóczęgów.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Owieczki dla Konwalijki).

Z następujących zgłosek: *ce — cu — cy — częj — er — gle — i — i — ił — kłē — krym — maj — na — nešt — rek — ro — ron — wę — za — ze — za* — ułożyć wyrazy: 1. Nazwa miesiąca. 2. Imię żeńskie. 3. Mówca starożytny. 4. Półwysep w Europie. 5. Miasto w gubernii radomskiej. 6. Imię męzkie. 7. Materyał palny. 8. Przysłówek. 9. Przysmak. 10. Znak nicości. Pierwsze litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwisko poety, ostatnie w tym samym kierunku imię i nazwisko malarza.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 31-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

E	W	A
W	I	R
A	R	A

Skrzynka do listów.

Mikado i Mandaryn piszą śliczną kaligrafią, mniej biegli są w pisowni, niedawno właśnie tłómaczyliśmy w „Błędach języka”, że się nie pisze *donosimy*, *prosiemy* tylko *donosimy*, *prosimy*. Dante nie nazywał się *Algieri*, lecz *Alighieri*.

Blondynce z Cieszyna odesłano żądane arkusze i adres zmieniono. Z robotami jest kłopot na komorze, tylko przez okazję przesyłać je można; przykro nam bardzo, że konkurs ten jest niedostępny dla pewnej części naszych czytelniczek.

Bocianowi z nad Nilu z całego serca życzymy, aby cierpliwie i pomyślnie przebył następstwa tak okropnego wypadku. Prosimy bardzo o częste wiadomości, skoro kochany Bocian pisać może. Łamigłówkę wydrukujemy, cieszymy się, że czytanie „Wieczorów” jakkolwiek rozrywkę cierpiącemu Bocianowi sprawia.

Świąteczko znajdzie jeszcze pewnie czas na zrobienie jakiejś małej robotki, umyślnie naznaczyliśmy termin dosyć długi. Można użyć na to dni słotnych. Świąteczko zapomniało, że po prosząc o coś, trzeba przedewszystkiem adres przysłać.

Droga Wiochno z pod Lublina! Chociaż cię nie znam, czuję jakąś sympatyę do ciebie i pragnęłabym korespondować z tobą. Bardzo mi się podobają twoje powiastki, w dodatku drukowane. Ja mam imię matki Leszka białego, jestem o rok od ciebie młodszą. Okolice, które zamieszkujesz mają dla mnie dużo uroku. Odpisz życzliwej Poziomce kujawskiej.

Kochana Gwiazdko z nad Niewiaży! Chciałabym z tobą się zapoznać. Mam imię Marya, jestem jedynaczką. Jak spędzasz wakacje, bo ja bardzo wesoło. Niezapominajka z nad Niewiaży.

Kochana Polska Dzieweczko! Przepraszam cię za długie milczenie, ale zarzuciłam Nr. „Wiecz.” w którym był twój liścik i dopiero go odnalazłam. Gdzie spędzasz wakacje i czy dobrze się bawisz? Ja bardzo dobrze. Proszę cię o odpowiedź, Owieczka.

Kochana Góraleczko! Bardzo ci jestem wdzięczna za liścik, bo tak rzadko je odbieram. Zapytujesz, czy lubię śpiewać krakowiaki? O, i bardzo! Uczę się w domu, od wakacyi zapewne pójde na pensję. Krakowianka.

Kochana Wajdelotko! Śliczny masz pseudonym. Napisz mi co o sobie. Ja mam imię Julcia, kończę lat 11, mieszkam na Ukrainie, życzliwa Ostróżka Biała.

Kochana Góraleczko! Domyśleć się nie mogę, kto pod pseudonymem „Góraleczki” się ukrywa. Największą przyjemność sprawiłabyś mi, gdybyś mi swoje imię i nazwisko dała poznać. Za list jestem ci wdzięczną. Odpowiedzi oczekuję z niecierpliwością, kochająca Krakowianka.

Kochana Żabko z nad Smotrycza! Zdaje mi się, że jesteś w moim wieku t. j. że masz 11 lat, więc chciałabym się z tobą zapoznać, i proszę cię abyś mi coś o sobie powiedziała: gdzie mieszkasz, czy masz liczne rodzeństwo? Ja mam trzy siostry i dwóch braci; mieszkam na wsi w księstwie Poznańskim. Mam nadzieję, że odpowiesz na zapytania kochającej cię Konwalii Różowej.